

Wakacje z mułłami – cz. 13

20 stycznia 2008

ZANDŻAN I SOLTANIJEH

Przez cały czas mieliśmy w Iranie ciepłą i słoneczną pogodę. W Teheranie zostawiliśmy 27 stopni i nic nie wskazywało, że pogoda na miejscu będzie się znacznie różnić. Tak więc, by nie obarczać się nadmiernym bagażem, nie zabraliśmy dużo. Prócz tego, co mieliśmy na sobie, mieliśmy nasze cienkie polarki, po podkoszulce, zmianę bielizny osobistej, moją lekką nylonową kurtkę i coś do spania. W normalnych, dotychczasowych układach byłoby to zupełnie wystarczające na przeżycie paru dni. Tak nam się przynajmniej wydawało.

Tymczasem w połowie drogi sceneria zaczęła się szybko zmieniać. Miejsce pustyni zajęły pastwiska i pólka uprawne, a przydrożne drzewa nie miały jeszcze prawie liści i wyglądały raczej zimowo. Tory i szosa wiodły bardzo rozległą z początku, płaskodenną równiną, pomiędzy dwoma pasmami niskich wzgórz, które stawały się stopniowo coraz wyższe. Niebo chmurzyło się coraz bardziej i zaczynał kropić deszcz. Kiedy po trzech godzinach dojechaliśmy do Zandżan, lało już jak z cebra i wiał zimny wiatr. Wdziałam na siebie dres i kurtkę, ale i tak było mi zimno, a Krzysiek, który miał tylko dres, trząsał się jak osika. Dookoła wszyscy zakutani w płaszcze, czapki i kurtki, na stacji kaloryfery grzeją na cały regulator, a my jak para idiotów, bo nawet nasze parasole zostały w Teheranie z resztą bagaży. Złapaliśmy pierwsze lepsze auto, jakie się nawinęło i poprosiliśmy o zawiezenie do hotelu, którego nazwę ktoś nam polecił w przygodnej rozmowie na stacji w Teheranie.

Hotel był taki sobie, w recepcji siedział 15-letni młodzian, którego zachowanie i sposób bycia cechowały się typowymi dla tego wieku, nieprzyjemnymi cechami. Byliśmy jednak tak zmęczeni i zmarznięci, że nie mieliśmy siły szukać czegoś lepszego. W pokoju na szczęście grzały kaloryfery, a w

łazience była ciepła woda. Ogarnęliśmy się trochę i trzęsąc z zimna, poszliśmy coś zjeść do pobliskiej restauracji. Szkoda, że jest tak lodowato, bo Zandżan wygląda na bardzo przyjemne i przyjazne miasto – niezbyt wielkie, czyste i o wiele mniej zatłoczone autami.

Poszliśmy spać z cichą nadzieją, że może jednak pogoda się poprawi. W nocy przeszła gwałtowna burza, a rano powitał nas widokiem ośnieżonych gór za oknem i temperaturą bliską zera. Po ulicach hulał ostry, jak brzytwa, lodowaty wiatr, sypiący co chwila śniegiem. Kuchnia hotelowa była nieczynna, Krzysiek wyszedł więc do miasta, by kupić coś na śniadanie. Znalazł jakąś piekarnię i kuląc się z zimna, potulnie ustawił w kilkusobowej kolejce, czekającej przed okienkiem na piekący się jeszcze chleb. Miejscowi jak zwykle zaczęli go wypyttywać skąd jest, a potem, mimo że sami szczękali zębami, wypchnęli go na pierwszego, tak że nie musiał długo czekać.

Po śniadaniu mieliśmy do wyboru, albo nudzić się w nieciekawym pokoju, albo spróbować coś zwiedzić. Mimo, że pogoda była wciąż okropna, postawiliśmy wybrać się do Soltanijeh, 50 km od Zandżan. 700 lat temu było to wielkie miasto, stolica sułtana z mongolskiej dynastii Ilkhanidów, Oldżeitu. Przez następne stulecia stopniowo podupadało, aż zrobiła się z niego mała i biedna wioska. Po dziesiątkach meczetów, szkół, pałaców, bram i po murach miejskich nie został nawet ślad. Ocalało jedynie mauzoleum Oldżeitu, gigantyczna budowla, zwieńczona ośmioma minaretami, przykryta na wysokości ponad 50-metrów, pokrytą turkusowymi kaflami kopułą, większą niż późniejsza od niej o ponad 200 lat kopuła kościoła Piotra i Pawła w Rzymie.

Dla Krzyśka była to obowiązkowa wycieczka. Jeśli idzie o mnie, to byłam tak zmarznięta, że przeklinałam cały świat. Skoro jednak nie można było od przenikającego do kości ziąbu uciec, zgodziłam się pojechać, żeby przynajmniej coś zobaczyć. Jakby dla kompensaty trafił się nam wyjątkowo uczciwy taksówkarz, który zgodził się na normalną, a nie „turystyczną” cenę. W aucie odżyliśmy trochę, bo działało ogrzewanie i było bardzo

ciepło i przytulnie. Po drodze wyglądaliśmy na zimowy krajobraz, pola przysypane śniegiem i ośnieżone góry na horyzoncie. – Ale nam się trafiło!!!

Gdy wysiedliśmy u celu z samochodu, zimno było nie do wytrzymania. Lodowaty wichur, hulający bez przeszkód poza miastem przeszył nas mrozem do szpiku kości. W tym zimowym, szarym krajobrazie, przytłaczające wielkością, otoczone bezlistnymi drzewami i obudowane rusztowaniami mauzoleum wyglądało ponuro i nieprzyjaźnie. Kupiliśmy bilety i szybko weszliśmy do środka, aby uciec od przeszywającego ubranie wiatru.

Wnętrze było imponujące, choć także zastawione rusztowaniami, tak, że trudno było wypatrzeć kopułę i ściany ginęły w mroku, gdzieś wysoko nad głowami. Na wspaniałych ośmiu łukach z misternie ułożonych cegieł opierała się galeria okalająca pomieszczenie. Obiegła nas wycieczka licealistek, z entuzjazmem testując na nas swą znajomość angielskiego, tak, że na chwilę zapomnieliśmy o zimnie. Były z przewodniczką, mówiącą dobrze po angielsku, która z poważną miną powiedziała nam sporo interesujących rzeczy o mauzoleum. Okazało się, że geometryczne motywy, układane w ścianach z cegieł ciemniejszego koloru to nie ozdoby, ale pismo arabskie w alfabecie kufickim, sławiące imiona Allacha i Proroka Muhammada. Wspięliśmy się po stromych i wąskich schodach, wewnątrz grubych murów, na 2 piętro galerii, otaczających z zewnątrz centralną halę mauzoleum i obudowanych misternie ułożonymi cegłami. Na zewnątrz, z wysokości 40 m, widok na zabudowania wioski i ośnieżone góry pod nisko nawisłymi chmurami był imponujący, ale zimny wiatr szybko nas stamtąd przepędził.

Umówiliśmy się z taksówkarzem, że przyjedzie po nas za pół godziny, ale kiedy wyszliśmy na zewnątrz jeszcze go nie było, a wiatr ze śniegiem i zimno dawały nam się we znaki tak bardzo, że trzęśliśmy się i szczękały nam zęby. Przecież pokazaliśmy mu czas na zegarku, miejmy nadzieję, że nie

odjechał bez nas...

Z przerażeniem myślimy o szukaniu transportu na peryferiach ubogiej wioszczyny. Musieliśmy wyglądać tak żałośnie, jak się czuliśmy, bo ktoś zadzwonił na policję. Nagle podjechało do nas auto policyjne i policjant, mówiący trochę po angielsku, zaczął nas wypytywać kto jesteśmy, co tutaj robimy, sprawdził kopie paszportów, a dowiedziawszy się że czekamy na prywatny transport, odetchnął z ulgą i uspokojony odjechał. Starszy facet z budki biletowej zabrał swój własny grzejnik elektryczny, zaniósł do małej kanciapy obok i na migi pokazał nam, aby tam wejść i nieco się ogrzać. Po dwudziestu minutach zjawił się nasz taksówkarz i już bez większych przeszkód dojechaliśmy do hotelu.

W recepcji, właścicielka, trzydziestoczteroletnia kobieta, wdała się z nami w rozmowę bardzo łamanym angielskim. Biadała, że jest od trzech lat wdową, z czwórką nastoletnich dzieci, że ma jakieś poważne kłopoty z sąsiadami, czy władzami i chciałaby wyjść za mąż za kogoś z Zachodu, oczywiście tak bogatego jak w miejscowym wyobrażeniu są wszyscy tamtejsi ludzie. Zaczęła nas prosić o znalezienie kogoś, kto by ją wziął razem z dziećmi, aby mogła uciec od swoich kłopotów. Wyszła za mąż w wieku 14 lat, nic dziwnego, że ma 15-letniego syna, którego z początku braliśmy za jej brata. Niestety, jej zdzierstwo sięga niebios. Kiedy wróciliśmy tak bardzo zmarznięci, poprosiliśmy ją o herbatę. Owszem, zaparzyła nam po filiżance i poczęstowała jakimś ciastem, ale policzyła więcej, niż w najdroższej restauracji. Rozumiemy, że może jej być ciężko, ale takie podejście jest raczej niemiłe.

– Wyjątkowo nieprzyjemna kobieta, a na dodatek jeszcze mizdrzy się do Krzyśka!!!

Kupiliśmy trochę świeżego czosnku do gryzienia, na wszelki wypadek, żeby odegnać przeziębienie, nafaszerowaliśmy się multiwitaminą i trzymamy kciuki, żeby się z tego zimna nie rozchorować. Musieliśmy znów wyjść, żeby znaleźć jakiś obiad.

Kebabiarni i restauracji jest chyba w Zandżan niewiele i ludzie jedzą w domu, bo łaziliśmy dość długo po lodowatych ulicach zanim znaleźliśmy skromną jadłodajnię przy małym placu. Gorące kebaby, z surową cebulą, grillowanymi pomidorami i kiszonymi ogórkami oraz czajnik wrzącej herbaty rozgrzały nas trochę, ale Krzysiek marznie tak bardzo, że postanowił kupić jakąś kurtkę.

Zaczęliśmy łązić po sklepach, ale albo nie było odpowiedniego rozmiaru, albo kolor nie ten, albo wreszcie cena za wysoka. Po drodze zagadnął nas młody jegomość, dobrze mówiący po angielsku, a dowiedziawszy się czego szukamy zaofiarował się z pomocą. Pochodził z nami po sklepach, a wreszcie poradził nam pójść na bazar, gdzie jest największy wybór i najtaniej. Wyglądało jednak, że może nie starczyć nam riali, no więc zaczęliśmy chodzić po licznych, jak wszędzie w Iranie bankach, ale nigdzie nie wymieniali zagranicznych pieniędzy. W końcu wsiedliśmy w taksówkę, żeby pojechać do głównego banku w mieście, gdzie po długich korowodach i formalnościach mogliśmy wreszcie wymienić nasze dolary. Na szczęście bazar zaczynał się po drugiej stronie ulicy. W jednym ze straganów Krzysiek kupił kurtkę, która była w sam raz, ciepła i tania, ubrał ją od razu na siebie, a mnie dał swój dres. Owinięty w grubą kapotę z ogromnym kapturem od razu „ożył” i zamiast myśleć o jak najszybszej ucieczce z tej Syberii, zanim się poprzeciębiamy i rozchorujemy, zaczął roztaczać plany na dalszą wyprawę w ośnieżone góry i namawiać mnie na wyjazd. To prawda, że planowaliśmy tam jechać, ale w taką pogodę wyprawa w góry, gdzie diabeł mówi dobranoc jest zupełnie bez sensu!

– Taki szmat drogi i wszystko na nic!! A niech to cholera!!! – Wścieka się na pogodę mój pasjonat mąż.

Zostaniemy do jutra, może jednak się ociepli! Na razie, marzymy tylko o łóżku w ciepłym pokoju. W pokoju się wychłodziło, w łazience wieje lodowatym wiatrem od okienka, którego się nie da zamknąć. Przemarznięci, zrezygnowaliśmy nawet z kąpieli. Czerwone niebo o zachodzie słońca wróży tylko

dalszy mróz. Rano przywitały nas pozamarzane kałuże, biały, gęsty szron na trawie, zamarznięte na sztywno kwiatki na miejskich rabatkach. Zakutani, skuleni z zimna ludzie przemykają się po ulicach. Kazałam Krzyskowi iść kupić bilety na pociąg do Teheranu w pobliskim biurze podróży.

Na dworcu spory tłok, na szczęście nie musimy kolejkować do kasy. W pociągu ciepło i przyjemnie, podali nam śniadanie. Z komfortowego, ciepłego wagonu, zaśnieżony krajobraz z górami za oknem wygląda bardzo imponująco i ciekawie. Krzysiek nie może przeboleć odwrotu i burczy na mnie, że gdyby nie moje marudzenie bylibyśmy w górach.

– A jakże!! W jakiejś wioszczynie gdzie trudno o transport, z niekoniecznie czynnym hotelem, przy minus dziesięciu stopniach. Nie wspominając o tym, że nie jesteśmy do zimna przyzwyczajeni i nie mamy ciepłych ubrań.

– Dałbym ci moja kurtkę.

– A sam byś przemarzł i rozchorował się, co?

Koniec części trzynastej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)